

Chinka

przekład Natalia Mirowska, Eliza Banaś

Przypadkiem wstąpiłem do knajpy, żeby zabić jakoś czas w oczekiwaniu na przyjaciela.

Obsłużyła mnie kelnerka pochodzenia chińskiego. Od samego początku źle mnie traktowała. Wołałem ją kilka razy, ale ona obsługiwała wszystkie inne stoliki udając, że mnie nie widzi i nie słyszy. W końcu sam podeszedłem do baru i zamówiłem przekąskę. Przyniosła mi ogromną porcję. Kiedy powiedziałem jej, że nie jest to przekąska tylko normalna porcja jedzenia, rzekła sucho:

- No cóż, jest jak jest!

Zabrała rękoma z talerza kilka kalmarów i wyniosła je z chłodnym spojrzeniem, nie wyzbywając się ani na chwilę swojej pogardy. W innych okolicznościach wyszedłbym, ale pomyślałem, że mogłem być do niej trochę uprzedzony, ponieważ była cudzoziemką; może nie wiedziała co to jest porcja albo po prostu miała zły dzień, każdemu może się zdarzyć.

Wróciłem następnego dnia, ale jej zachowanie pogorszyło się. Wydawało się, że ma coś do mnie. Kiedy zwróciłem jej uwagę, powiedziała:

- Jeśli ci się nie podoba, to wypad.

Postanowiłem jednak być dla niej miły, było to dla mnie czymś w rodzaju wyzwania. Do kłótni potrzeba dwojga, a ja byłem przekonany, że moje dobre maniery, moja uprzejmość i dobry napiwek skończą się udobruchaniem Chinki. Jeśli przychodzisz codziennie, to nie sposób nie nawiązać jakiejś relacji. Zacząłem zastanawiać się, czy była taka niemiła tylko wobec mnie; z pewnością nigdy nie była miła, ale tylko ja miałem zaszczyt doświadczyć takiego upokarzającego traktowania. Zastanowiłem się nad swoimi komentarzami, strojem i manierami...nad każdym szczegółem, który mógłby wyjaśnić mi to okropne zachowanie. Nie doszukałem się niczego, co mogłoby ją usprawiedliwić. Przyszło mi do głowy, że byłem zbyt wyniosły, arogancki a może nawet rasistowski, oczywiście nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jednak ciężko mi było sobie to wyobrazić, ponieważ sam nienawidziłem tych, którzy tak się zachowywali.

W przeciągu miesiąca stałem się już stałym klientem. Oprócz Chinki pracował tam jeszcze inny kelner pochodzenia skandynawskiego albo polskiego. On nigdy mnie nie obsługiwał. Z pewnością każdy z nich miał wyznaczone stoliki, ale kiedy tylko zmieniałem miejsce na inne, Chinka nadal mnie obsługiwała, i to z coraz bardziej większą złośliwością. Stałem się jej chłopcem do bicia.

Postanowiłem przejść do kolejnej fazy. Śledztwo. Wychodziłem z biura około szóstej i siadałem w barze o szóstej trzydzieści. Moją pierwszą akcją dochodzeniową było czekanie na zmianę. Bingo! O wpół do dziewiątej, podczas wydawania kolacji, inna dziewczyna o egzotycznym wyglądzie zastąpiła moją Chinkę.

Nie były do siebie podobne. Moja była szczupła, miała czarne, długie włosy, twarz lalki i łagodne rysy twarzy. Piękna jak ta chińska wersja Barbie, którą kiedyś widziałem. Z kolei ta druga była, nie wiem czy yin czy yang, ale na pewno wyglądała jak przeciwieństwo mojej kelnerki. Krótkie włosy, grubiotka, niziutka i sympatyczna.

Wykorzystałem czas płacenia za rachunek na krótką pogawędkę:

- Przepraszam, płacę u pani czy u tej drugiej chińskiej kelnerki, która mnie obsłużyła?

- Nie jestem Chinką – powiedziała płynnym hiszpańskim – jestem Filipinką, mam na imię Chaersi.

- Aaa, Chaersi, miło mi. Wybacz, ale rozróżnianie narodowości nie jest moją mocną stroną. A więc twoja koleżanka jest Chinką, tak?

- Nie szkodzi. To normalne. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla was wszystkie wyglądamy identycznie. – powiedziała z krystalicznym uśmiechem. Pomyślałem sobie, że nic bardziej mylnego. Moja Chinka jest bezczelna, ale też o wiele piękniejsza.

– Ona faktycznie jest Chinką, ale pochodzi z Malezji. Urodziła się w Perai, mieście turystycznym należącym do Penang...

Postanowiłem pociągnąć ją za język.

- Kurczę, ty mówisz bardzo dobrze po hiszpańsku a ona...niekoniecznie.

- Ah, dziękuję! Przyjechałam do Hiszpanii jak byłam małym dzieckiem, a poza tym, jak wiesz, Filipiny były hiszpańską kolonią, a więc hiszpański jest nam dobrze znany... – powiedziała.

Ale mnie wciąż interesowała ta druga.

- Jasne. A twoja koleżanka?

- No cóż, nie jest zbyt rozmowna, ale myślę, że to wynika z faktu, że jest tu dopiero od niedawna. Wydaje się, że rodzina wysłała ją tutaj do pracy, aby im wysyłała pieniądze. Jest czwartą z pięciorga rodzeństwa. Przepraszam, ale muszę już iść obsłużyć stoliki...

- Tak, tak, oczywiście.

Jakiś imbecyl wołał ją wymachując rękoma niczym wiatrak. Zapewne turysta.

Wymowa Chaersi była prawidłowa, ale ta składnia „jest czwartą z pięciorga rodzeństwa”? Cóż, jeśli jest czwarta, oznaczałoby to, że jest... Zaśmiałem się do siebie.

Jak tylko wróciłem do domu, sprawdziłem wszystko co mogłem o Perai, Penang i Malezji oraz o chińskiej grupie etnicznej pochodzenia malezyjskiego. Przy okazji sprawdziłem też kuchnię malezyjską.

Następnego dnia byłem dobrze przygotowany do mojej codziennej wizyty. Musiałem ją zawołać kilka razy i kiedy już nie mogła udawać, że mnie tam nie ma, podeszła mówiąc swoim charakterystycznym tonem:

- Czego?

Wtedy przystąpiłem do mojej strategii. Wyczytałem, że większość potraw malezyjskich składa się z ryżu, więc zamawiając coś w restauracji zwykle dodają wyrażenie *lauk*, które oznacza „oprócz ryżu”.

- Przynieś mi proszę piwko i...*lauk*!

Wbiła swój wzrok prosto w moje oczy i powiedziała:

- Chyba wiesz, że tu nie ma...

- Yyy, myślałem, że...

- Myślenie ci widocznie słabo wychodzi... *fucking disabled!*

Nie tylko jej postawa uległa zmianie, ale zaczynały się też pojawiać wyraźne oznaki jawnego okrucieństwa wobec mnie. Nazwała mnie czymś w rodzaju „pieprzonego inwalidy”, ale gorsza od zniewagi była intonacja, z jaką to powiedziała... jakby napluła mi prosto w twarz. Jej mina była przerażająca i pełna nienawiści.

Kiedy odwróciła się do mnie plecami gestem naśladując matadora i zaczęła się oddalać dumna niczym księżniczka miałem ochotę zamienić się w wilkołaka i rozszarpać jej gardło. Powściągnąłem się.

Zastanawiałem się czy nie rzucić pieniędzy na stół i odejść na dobre, ale powstrzymała mnie duma. Do cholery, za kogo ta Chinka się uważa? Przecież to ja byłem klientem i, odkąd pamiętam, to ja zawsze powinienem mieć rację, a nie być obiektem okrucieństwa i maltretowania.

Wstałem i zawołałem do niej głośno:

- Ej, podejdź tu!

Na szczęście nie było dużo klientów, ale ci nieliczni, którzy tam byli odwrócili się do mnie oszołomieni moją, powiedzmy, asertywnością.

Przez chwilę pomyślałem, że zaraz mi pokaże środkowy palec, ale tak się nie stało.

- Już się robi, proszę pana. – wypowiedziała niemal posłusznie i stanęła przede mną.

- Przyniesiesz mi bezkofeinową kawę z niezbyt gorącym mlekiem, w szklanej filiżance, z brązowym cukrem, a w osobnej szklance dwie kostki lodu.

- Już się robi, proszę pana. – odeszła z uśmiechem.

Kurwa, chyba się przesłyszałem. Kulturalna i się uśmiecha? Co się stało?

Zapłaciłem tyle, ile było na rachunku, bez grosza napiwku, rzucając lekceważąco monety na stół, bez żadnego „dziękuję” ani „do widzenia”. Na pożegnanie usłyszałem: „dziękuję bardzo, do zobaczenia jutro, proszę pana, miłego dnia”.

W ciągu kolejnych dni, moja hipoteza o jej masochistycznych upodobaniach przybrała na sile. Czy to właśnie było to? Czekala aż będę czegoś wymagał, źle ją potraktuję, aby mogła pokazać, że jest uległa? Uczyła się na gejszę albo był to element jej wychowania kulturowego?

Na szczęście, w piątek tego samego tygodnia wydarzyło się coś, co mną wstrząsnęło i wprawiło mnie w osłupienie.

Delektowałem się ostatnim łykiem mojego ginu z tonikiem Martin Miller, kiedy nagle ktoś się pojawił.

- Miguel, kopę lat! Jesteś przejazdem? Myślałem, że mieszkałeś w Londynie.

- I wciąż tam mieszkam, przyjechałem tylko rozwiązać pewne sprawy rodzinne.

- Usiądź! Czego się napijesz?

- Lampka białego wina wystarczy.

Nagle, bez żadnej autocenzury, powiedziałem to, co powiedziałem.

- Ej, Chinka! Białe wino z Ruedy dla pana! Tylko szybciotko i żeby było schłodzone! Rozumiemy się?

- Oczywiście, proszę pana, momencik!

Wyglądała na zdumioną, wychodząc niemal biegiem i przynosząc kieliszek w mgnieniu oka. Podała go, używając obydwu rąk i pochylając głowę. Czy taka odpowiada, proszę pana?

Bez słowa stuknąłem w stół, a ona odstawiła kieliszek dokładnie tam, gdzie wskazałem. Dziękuję panu, do pańskich usług, proszę pana.

Kiedy odwróciłam się do Miguela, zauważyłem, że ma wybałuszone oczy, czerwoną twarz i niezwykle nabrzmiąłą żyłę na szyi.

- Ale jak możesz tak mówić do tej kelnerki?! Nie sądziłem, że jesteś szowinistą i pieprzonym rasistą. - Wstał czerwony ze złości.

- Miguel, proszę, ty nie rozumiesz, co się dzieje.

- Dzieje się to, że nie zamierzam przebywać ani sekundy dłużej w towarzystwie takiej faszystowskiej świni jak ty.

I wyszedł, nie pozwalając mi nawet otworzyć ust.

Byłem tak zdezorientowany, że nie wiedziałam, jak zareagować i nie potrafiłam mu wyjaśnić tej sytuacji. Czułem się okropnie. Na szczęście wracał już do Londynu i miałem nadzieję, że nie zdąży rozpowszechnić swojej wersji tego, co się stało.

- Czy mogę coś jeszcze zaoferować, „mój” panie?

- Nie wiem, w co ty grasz...

- Gram, proszę pana? Nie, wypełniam tylko swoje zadanie, aby obsłużyć pana jak najlepiej umiem i potrafię.

Wróciłem zszokowany do domu. Czym stawałem się w rękach tej wiedźmy? Przeszedłem od bycia znieważanym i poniżanym do robienia tego samemu; od ofiary do kata, a raczej od wyzwolonego niewolnika do bezlitosnego pana. Przypomniałem sobie obraz badacza manipulowanego przez szczura. Badacz uważał, że wytresował szczura, ponieważ za każdym razem, gdy szczur uderzał w dźwignię, otrzymywał jedzenie. Jednak szczur pomyślał: „Wyszkoliłem go, za każdym razem, gdy dotknę tej dźwigni, zmuszam go do nakarmienia mnie”. Czy ona właśnie świadomie mnie oswajała?

Zdecydowałem, że potrzebuję porady eksperta i przyszło mi do głowy, że najlepszym i najtańszym sposobem będzie znalezienie kogoś, kto chciałby wymieniać się lekcjami języka.

Poznałem pewnego Koreańczyka, który mieszkał w Malezji i który nazywał się Kaleulloseau, Kale dla znajomych.

Jego ogłoszenie: mój mandaryński za twój hiszpański.

Nie owijałem w bawełnę i wyjaśniłem mu, jaki jest mój cel. Że nie obchodzi mnie zbytnio mandaryński i że z przyjemnością pomogę mu w nauce hiszpańskiego, ale tak naprawdę chciałem dowiedzieć się więcej o Malezyjczykach, a zwłaszcza o Chinkach z Malezji.

Zaczęłam mu opowiadać, co wiedziałam o mojej Chince, jej pochodzeniu, jej

schizofrenicznym zachowaniu, że była czwartym z pięciorga rodzeństwa. Wtedy jakby się obudził, otworzył oczy i powiedział:

- Wszystko jasne! Jest czwarta.

- Tak, czwarta. Co jest z czwartą.

- Skąd ona jest? Miejsce.

- Perai w Penang.

- Oczywiście, Perai!

Zaczynał mnie wkurzać tyloma diafanicznymi wykrzyknikami, które dla mnie były nieprzeniknioną ciemnością.

- Dlaczego jest tak jasne, to że jest czwartym dzieckiem i że jest z Perai?

- Cóż, Perai jest blisko Bukit Minyak.

- Wiesz, nigdy nie byłem w Malezji i nie nadążam...

- Pewnie, pewnie. - Myślę, że zauważył, że moje oczy zrobiły się mniejsze i zrobiłem minę w typie: „Żartujesz sobie ze mnie?”

- Ja ci wyjaśnię. Bukit Minyak jest świętym kamieniem, z numerami...

- Kamień z numerami?

- Tak, numery... Osiem to bardzo dobrze, cztery to bardzo źle.

- Numer cztery jest zły? Tak, bardzo bardzo... *bad luck?* - powiedział po angielsku.

- Pechowy?

- Tak, bardzo, bardzo.

- A dlaczego?

- Cztery po mandaryńsku i kantońsku to "tak", śmierć też jest "tak". Osiem to "bogaty".

- Rozumiem. Śmierć i cztery są wymawiane tak samo. Więc moja Chinka, ponieważ urodziła się jako czwarta, jest osobą uważaną za pechową... To znaczy mającą pecha, *bad luck*...

-Tak, tak, więc... - Zastanawiałem się, czy jego „tak” oznaczało cztery, śmierć, czy jedno i drugie.

Cóż, wiedziałem coś jeszcze. Prawdopodobnie rodzina wysłała ją do pracy, bo myśleli, że przyniesie im pecha. Kale powiedział mi, że w wielu chińskich budynkach czwarte piętro nie istnieje i przechodzi się prosto na piąte, albo że tablice samochodowe z numerem cztery są tańsze, bo nikt ich nie chce. Zresztą, co to ma wspólnego z jej zachowaniem, najpierw nieprzyjemnym, a potem uległym?

Przejrzałem swój notes i spróbowałem zlokalizować dokładny dzień, w którym po raz pierwszy spotkałem moją Chinkę. Oczywiście był to 4 czerwca! To częściowo pasowało, ale miała też innych klientów, niewielu, trzech lub... czterech! Ja byłem klientem numer cztery!

Następnego dnia z samego rana poszedłem do baru, ale nie usiadłem. Chodziłem dookoła i liczyłem. Kiedy obsłużyła pierwszych siedmiu klientów, podszedłem do niej.

- Witam, jak się masz?

- Dobrze, proszę pana. Cieszę się, że pana widzę. Czego się pan napije?

- Wiesz, dzisiaj jestem twoim ósmym klientem. - Najpierw otworzyła oczy ze zdumienia, po czym odwróciła głowę do tyłu, jak ktoś szukający koła ratunkowego. Wyraźnie przestraszona, odpowiedziała mi:

- Nie wiem, czy mogę panu pomóc. Dobrze się pan czuje?

- Ale zastanówmy się, czy osiem nie jest znakiem szczęścia w waszej kulturze?

- Tak, ale w mojej rodzinie nie jesteśmy przesądni, proszę pana. Jesteśmy normalni.

- Ale czy nie urodziłeś się jako czwarta w rodzinie?

- Cóż, to była moja siostra bliźniaczka, ja urodziłam się piąta, kilka sekund później.

- Twoja siostra bliźniaczka?

- Tak, pracowała tutaj, ale chciała być farmaceutką, miała stopień naukowy. Nie lubiła pracować w barze i zawsze była zła. Udawała, że źle mówi po hiszpańsku, żeby odstraszyć kretyków, ale ona mówi lepiej niż ja. Ja uwielbiam tutaj pracować.

Złapałem się na tym, że używam „pewnie, pewnie”. Jak głupio z mojej strony.

Wymyśliłem cały film na nic. Cóż, na nic. Zemsta podawana jest na zimno...

- Przepraszam, o której kończysz pracę?

- Dziękuję panu, bardzo mi przykro, ale nie jest pan w ogóle w moim typie.